

**Radosław
Broniek OP**

DUCHOWE

bezdroża

**Przewodnik po wierze
zmutowanej**

Wydawnictwo WAM

© Wydawnictwo WAM, 2020

© Radosław Broniek OP, 2020

Opieka redakcyjna: Sławomir Rusin

Redakcja: Strefa Słowa Małgorzata Sękalska

Korekta: Dariusz Godoś

Skład i opracowanie graficzne: Marcin Jakubionek

Projekt okładki: Marcin Jakubionek

Za zgodą

Przełożonego Polskiej Prowincji Dominikanów,

Pawła Kozackiego OP, prowincjała,

Warszawa, 7 marca 2020 r., Reg. Prow. 092/20.

ISBN 978-83-277-2474-8

WYDAWNICTWO WAM

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200

e-mail: wam@wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255

e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA

tel. 12 62 93 260

www.wydawnictwowam.pl

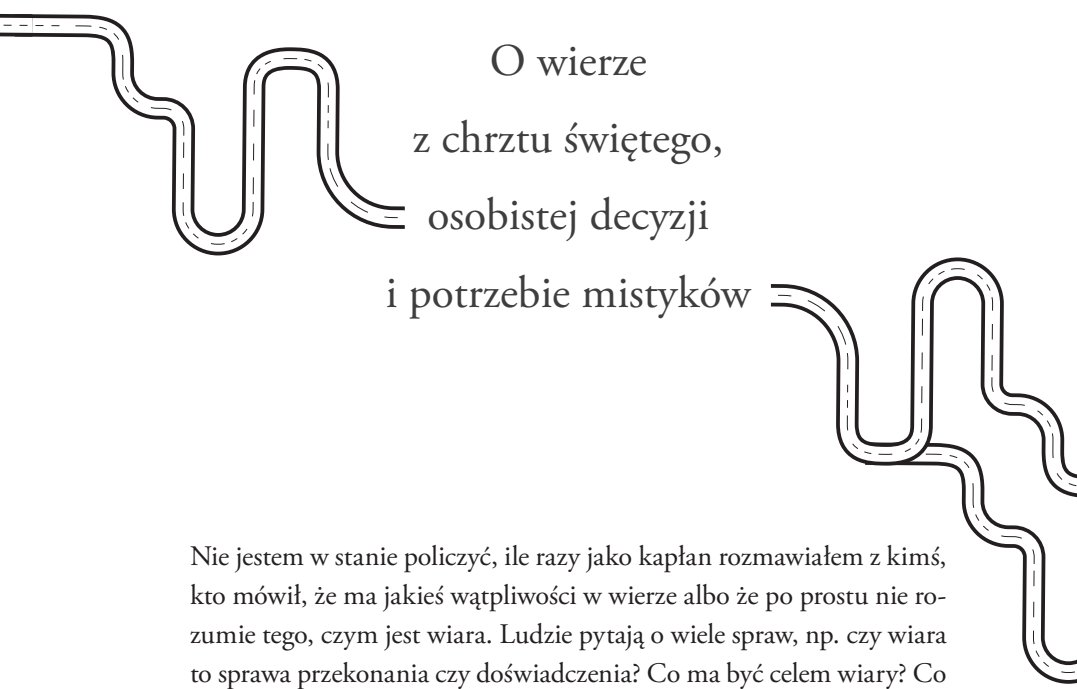
Druk i oprawa: AMW • ZWrocław

Publikację wydrukowano na papierze Ecco book 70 g wol. 2.0

dostarczonym przez Antalis Poland Sp. z o.o.

spis treści

Wstęp, czyli o nowym pogaństwie, Duchu Świętym, którego nie uwzględniają badania, oraz wierze zmutowanej	9
O wierze z chrztu świętego, osobistej decyzji i potrzebie mistyków	21
O pragnieniu Boga, Latającym Potworze Spaghetti i duchowo-religijnym supermarkecie	45
O Erze Wodnika, wierze chrześcijańskopodobnej i upodobnieniu się do Chrystusa	71
O poszukiwaniu cudowności, niebezpieczeństwie terapeutyzacji religii i roli doświadczenia w wierze	101
O charyzmatkach, widmie pentekostalizacji i kompleksie Mikal	129
O sektach, tajemnicy wolności człowieka i duchowych bezdrożach	157
Mutacje wiary, czyli kilka słów o herezjach, grzechach przeciwko wierze i porzucaniu Kościoła	185
O diable, zaniku grzechu i zagrożeniach duchowych	199
O magii, magicznym myśleniu i sensie chrześcijańskiej prośby	221
O mitach na temat rozumu i wiary oraz o obronie tej ostatniej	239
Zakończenie, czyli o siedliskach wiary, potrzebie mistagogii w Kościele i zaczynaniu na nowo od Chrystusa	261



O wierze z chrztu świętego, osobistej decyzji i potrzebie mistyków

Nie jestem w stanie policzyć, ile razy jako kapłan rozmawiałem z kimś, kto mówił, że ma jakieś wątpliwości w wierze albo że po prostu nie rozumie tego, czym jest wiara. Ludzie pytają o wiele spraw, np. czy wiara to sprawa przekonania czy doświadczenia? Co ma być celem wiary? Co człowiekowi daje wiara? Jak radzić sobie z wątpliwościami, które się w niej pojawiają? To jest jedna grupa pytań. Inna, także szalenie istotna, to pytania o to, jak żyć wiarą we współczesnym świecie, w którym jest wiele poglądów, religii i duchowości. Wielu katolików w zetknięciu z różnymi nowymi duchowościami czy ideami stawia sobie pytanie o to, czy (w jakiej mierze) czerpanie z nich może być wystawianiem wiary na jakieś niebezpieczeństwo. Czy np. daną praktykę medytacji lub metodę leczenia da się pogodzić z wiarą chrześcijańską? Jak we współczesnym świecie zachować wiarę nienaruszoną? W poniższych rozważaniach powiemy najpierw o tym, czym w ogóle jest wiara, a ściślej – ukážemy, w jaki sposób Kościół katolicki rozumie wiarę.

Wiara z chrztu a wiara martwa

Papież Benedykt w swojej książeczce *O sensie bycia chrześcijaninem* mówi, że trzeba codziennie zastanawiać się, jaki jest sens naszego bycia chrześcijanami, dlaczego Bóg powołał nas do wiary. Wiara jest to słowo typowo chrześcijańskie, które opisuje najbardziej dla nas, chrześcijan, podstawową postawę. W chrześcijaństwie wszystko wypływa z wiary. Bez niej w Kościele nic nie ma sensu. Ani chrzty, ani śluby, ani święcenia kapłańskie i sprawowanie jakichkolwiek sakramentów, ani życie zakonne. Bo po co zbierać się w kościele i polewać małe dziecko zimną wodą? Albo po co grupa zdrowych mężczyzn lub kobiet miałyby dać się razem zamknąć w klasztorze na jakimś odludziu?

Pewna mniszka powiedziała: „Ja nie wstąpiłam do klasztoru dla jakiejś pustki, ale dla Jezusa. On jest, chociaż Go nie widać”. Chrześcijanie wierzą, że to, co widzialne, to nie wszystko. Jest jeszcze to, co niewidzialne: świat duchów; anioły, demony, a przede wszystkim sam Bóg, który jest Stworzycielem „nieba i ziemi, wszystkich rzeczy widzialnych i niewidzialnych” – jak recytujemy w *Credo*. Jest Bóg, który, chociaż Go nie widać, daje się człowiekowi poznawać poprzez wiarę. I zaprasza do żywej relacji ze sobą. Aby jednak wejść w tę relację, potrzeba właśnie... wiary. Czyli tak naprawdę czego?

Zacznijmy od początku. W chrześcijaństwie wszystko zaczyna się od wiary. Dosłownie. Chodzi o wiarę rodziców, którzy przynoszą dziecko do chrztu: choć ono jest jeszcze małe i samo nie potrafi wierzyć, nie potrafi się modlić (nie wykonuje aktów wiary), ale otrzymuje chrzest „w wierze Kościoła”. Wstyd się przyznać do swojego niedouczenia, ale dopiero niedawno doszło do mnie na nowo – dzięki ojcu Jackowi Salijowi OP (który nota bene komentuje rozważania Benedykta XVI) – czym jest wiara, którą otrzymujemy na chrzcie

świętym. Chodzi mianowicie o tzw. obiektywny aspekt wiary. Wiara to nie są tylko przekonania. To coś bez porównania więcej. Na chrzcie każdy chrześcijanin (zazwyczaj jako dziecko) otrzymuje dar wiary, nawet jeśli jest jeszcze niezdolny do wykonywania aktów wiary, czyli np. do modlitwy bądź też przyjmowania jakichś przekonań. To właśnie ów dar z chrztu świętego uzdalnia człowieka do praktykowania wiary. Nasze przekonania, praktyki mogą się zmieniać, mutować, wręcz zanikać. Czy tę wiarę z chrztu świętego można utracić? Wydaje się, że dar wiary pozostaje w pewien sposób wciąż w osobie ochrzczonej, niekiedy tylko głęboko uśpiony.

Przytoczę jeszcze w tym miejscu celne słowa mojego współbrata Michała Golubiewskiego OP, który pisze o wierze oraz o możliwości jej utraty. Porównuje on wiarę do witraża w kościele, a człowieka do kościoła, w którego okna ów witraż jest wprawiony. Pisze: „Kiedy człowiek zgrzeszy ciężko i traci łaskę uświęcającą, traci wraz z nią nadprzyrodzoną cnotę miłości. Z reguły nie traci przy tym jednak wiary. Możemy to porównać z chwilą, gdy wewnątrz kościoła gaśnie światło. Witraż istnieje nadal, chociaż stracił płynący od wewnątrz blask (...). Kiedy człowiek traci łaskę uświęcającą i nadprzyrodzoną miłość, mówimy wtedy o «wierze martwej». Jest to wiara, która w pewien sposób «przestała być w pełni sobą», nie ma w sobie już całej doskonałości jako cnota, choć nadal kieruje nas ku Bogu i pozwala do Niego powrócić. Wiara taka jest bardziej narażona na utratę, podobnie jak w opuszczonym kościele witraże są narażone na zniszczenie. Jeśli taki stan życia w niezgodzie z Bożymi przykazaniami trwa dłużej, dołącza się tu pewien mechanizm psychologiczny. Człowiek dąży do zmniejszenia wewnętrznego dysonansu między sposobem życia i przekonaniem (w tym wypadku płynącymi z wiary). Czasem ten dysonans może pomóc mu w nawróceniu, niekiedy – niestety – skłania do odejścia od uwierających go zasad lub nawet od wiary

w ogóle” (M. Golubiewski, *Jak iskra z krzemienia*). Można dodać, że nawet jeśli nastąpi odejście od wiary, to jednak zawsze można do Boga powrócić. Co więcej, to Bóg jest tym, który pragnie człowieka na powrót odnaleźć – jak o tym mówi Ewangelia w przypowieści o zbłąkanej owcy (zob. Mt 18,12-14). Człowiek może być jak syn marnotrawny z przypowieści o miłosiernym ojcu, tzn. może od Boga odejść, ale nigdy nie przestaje być Jego dzieckiem. I to jest Dobra Nowina dla człowieka!

W chrześcijaństwie wszystko zaczyna się od wiary, którą – poprzez chrzest – otrzymujemy. Co więcej, każda odnowa, reforma w Kościele (analogicznie jak każda przemiana, nawrócenie w człowieku) jest związana z wiarą. W liturgii Środy Popielcowej zostajemy posypani popiołem i słyszymy słowa: „Nawracajcie się i wiercie w Ewangelię”, które są wzięte z opisu początku publicznej działalności samego Jezusa. „Gdy Jan został uwięziony, Jezus przyszedł do Galilei i głosił Ewangelię Bożą. Mówił: «Czas się wypełnił i bliskie jest królestwo Boże. Nawracajcie się i wiercie w Ewangelię» (Mk 1,14-15). Bo nawrócenie oznacza zawsze jakiś akt wiary podjęty na nowo. Papież Benedykt XVI powiedział kiedyś: „Rdzeniem kryzysu Kościoła w Europie jest kryzys wiary. Jeżeli nie znajdziemy nań odpowiedzi, jeżeli wiara nie nabierze na nowo żywotności, stając się głębokim przekonaniem i rzeczywistą siłą dzięki spotkaniu z Jezusem Chrystusem, wszelkie inne reformy pozostaną nieskuteczne” (Życzenia na Boże Narodzenie dla Kurii Rzymskiej). Zastanawiająca jest ta prostota słów Ojca Świętego². W Kościele najpierw chodzi

² Papież Benedykt XVI w innym miejscu powiedział (to tak dla jasności, że nie przeakcentowujemy kwestii wiary) z właściwym sobie wycuciem i głębią: „nie możemy nigdy rozdzielać czy wręcz przeciwstawiać wiary i miłości. Obydwie te cnoty teologalne są ze sobą ściśle związane, i błędem byłoby

o spotkanie w wierze z Chrystusem, który żyje, o przyjęcie sercem Jego miłości, która jest pierwsza i bezwarunkowa. Bez tego żadna odnowa nie ma szans powodzenia.

Wróćmy jeszcze do obrzędów chrzcielnych. Papież Benedykt w encyklice *Spe salvi* przypomina, jak wyglądał przedsoborowy obrzęd chrztu dziecka. Otóż kapłan pytał najpierw o to, jakie imię zostało wybrane dla dziecka, a następnie: „O co prosisz Kościół Boży?”. Na co rodzice odpowiadali: „O wiarę”. Z kolei szafarz sakramentu pytał: „Co ci daje wiara?”. I tutaj pojawiała się piękna odpowiedź rodziców: „Życie wieczne”. Wiara daje nam życie wieczne! Wiara ma doprowadzić dziecko, które zostaje ochrzczone, do życia wiecznego, do nieba. Rodzice, którzy przynoszą do kościoła małe dziecko, już od samego początku pragną dla niego zbawienia, pragną życia wiecznego.

Powtórzmy raz jeszcze to, co jest tak ważne. Wiara nie jest więc tylko jakimś światopoglądem chrześcijańskim, bo wtedy robimy z niej tylko coś subiektywnego. Ma ona w sobie wymiar obiektywny. Jest

upatrywanie między nimi sprzeczności lub dialektyki. Z jednej strony bowiem ograniczeniem jest postawa, która kładzie tak silny akcent na pierwszeństwo i decydującą rolę wiary, że nie docenia – i niemal je lekceważy – konkretnych uczynków miłości, sprowadzając ją do ogólnikowego humanitaryzmu. Z drugiej jednak, ograniczeniem jest również utrzymywanie przesadnej wyższości miłości i jej działania, i myślenie, że uczynki zastępują wiarę (...). Relacja między tymi dwiema cnotami jest analogiczna do tej, jaka zachodzi między dwoma fundamentalnymi sakramentami Kościoła – chrztem i Eucharystią. Chrzest (*sacramentum fidei*) poprzedza Eucharystię (*sacramentum caritatis*), ale jest na nią, która stanowi pełnię drogi chrześcijańskiej, ukierunkowany. W analogiczny sposób wiara poprzedza miłość, ale okazuje się autentyczna tylko wtedy, gdy miłość jest jej uwieńczeniem. Wszystko bierze początek w pokornym przyjęciu wiary (dowiedzenia się, że jesteśmy kochani przez Boga), ale punktem dojścia musi być prawda miłości (umiejętność kochania Boga i bliźniego), która pozostaje na zawsze, jako pełnia wszystkich cnót (por. 1 Kor 13,13)⁹. Benedykt XVI, *Orędzie na Wielki Post* 2013.

darem, który otrzymujemy na chrzcie świętym. Od tak pojętej wiary odróżniamy akty wiary, czyli jej praktykowanie. Dodajmy, że język łaciński, tak ważny dla kultury europejskiej i dla chrześcijaństwa, zna dwa różne wyrazy: *fides* – na określenie łaski wiary, oraz *credere* – wierzyć, w znaczeniu „praktykować” (inaczej niż w języku polskim, w którym oba te określenia mają wspólny źródłosłów). Zatem opisując powyższą sytuację z chrztem dziecka, można powiedzieć, że w nim nie ma jeszcze *credere* (wierzyć), ale jest *fides* (wiara).

Popatrzmy teraz na inną sytuację – na dorosłego katolika, który nie praktykuje. Nie ma więc u niego *credere*. Czy jest *fides*? Jak zrozumieć człowieka dorosłego (i ochrzczonego), który mówi o sobie, że jest wierzący-niepraktykujący? Jak rozgryźć ów dziwny twór językowy? Czy człowiek ochrzczony, który nie praktykuje (nie wykonuje aktów wiary), wciąż posiada wiarę? Chcąc znaleźć odpowiedź na te pytania, sięgnijmy do świetnych tekstów ojca Jacka Salija OP, a zwłaszcza jego artykułu *Wiara i wierzenia*. Autor odwołuje się w swoich rozważaniach do myśli św. Tomasza z Akwinu³. Doktor Anielski, jak zawsze, wprowadza wiele porządku w nasze pojmowanie spraw Bożych. I nawet jeśli musimy wykonać trochę wysiłku w zrozumienie jego wyводу, będzie to jednak „z pożytkiem doczesnym i wiecznym” – według słów modlitwy do Ducha Świętego.

³ Zainteresowanych problematyką wiary i jej systematycznym ujęciem z perspektywy nauki św. Tomasza z Akwinu odsyłam (oprócz przywołanego wyżej artykułu) do następujących tekstów o. Jacka Salija OP: *Co to znaczy być człowiekiem wierzącym? Ujęcie problemu w świetle nauki świętego Tomasza z Akwinu*, „W drodze” 5/1988. Godna polecenia jest też książka o. Wojciecha Giertycha OP *Rozruch wiary*. Wiara, jak mówi Teolog Domu Papieskiego, jest pierwszym impulsem życia nadprzyrodzonego w duszy, jednak w przypadku zerwania relacji z Bogiem poprzez grzech potrzeba na nowo łaski Boga, ponownego impulsu (czyli właśnie, jak mówi tytuł tej książki, rozruchu), który Bóg chce nieustannie dawać.

Wiara według św. Tomasza z Akwinu

Akwinata rozróżnia następujące aspekty wiary. Logicznie pierwszy jest „wierzę, że” jest Bóg (mądrze mówiąc, jest to materialny aspekt wiary). Nie jest to wiedza, ale coś w rodzaju katolickiego światopoglądu, tzn. przyjmowania rozumem twierdzeń wiary chrześcijańskiej (katolickiej). To jednak nie wszystko. Tomasz twierdzi nawet, że ktoś, kto ma tylko taką postać wiary, nie jest jeszcze prawdziwie człowiekiem wierzącym. A więc katolik, chociaż ochrzczony, może być w gruncie rzeczy kimś niewierzącym, posiadając tylko pewien religijny światopogląd. To nie wystarczy do zbawienia. Potrzeba takiej wiary, która zawiera uczynki, a nade wszystko „działa przez miłość”. Jest więc postawą ufego powierzenia się Bogu, relacją miłości z Nim. Kolejny aspekt to „wierzę Bogu”. Na tym poziomie zaczyna się wiara nadprzyrodzona, która – jako owoc łaski – pozwala człowiekowi nawiązać z Bogiem osobowy kontakt. I wreszcie, ostatni typ wyróżniony przez Tomasza, „wierzę w Boga”. Jest to wiara doskonała, ukształtowana przez nadprzyrodzoną miłość, która ukierunkowuje człowieka na Boga: „Albowiem wierzyć w Boga wskazuje na ukierunkowanie wiary do celu, co się dokonuje przez miłość; ponieważ wierzyć w Boga znaczy wierząc, iść ku Bogu, a to sprawia miłość” (Tomasz z Akwinu, *Wykład Listu do Rzymian*). Doktor Anielski pięknie ukazuje istotę wiary Kościoła. Otóż człowiek prawdziwie wierzący w Boga kieruje się cały ku Niemu („idzie ku Niemu”), ma z Nim żywą relację miłości. W tak pojętej wierze jest niezwykle dynamizm.

Ojciec Jacek Salij OP podkreśla jeszcze inną kwestię. Spotykamy się współcześnie z problemem redukcji wiary, czyli sprowadzania jej do wierzeń, do przekonań, do jakiegoś światopoglądu. Dominikanin mówi, że nasze myślenie o wierze znalazło się w niewoli psychologii – refleksja ta szczególnie zasługuje na przypomnienie. Odrutką

na to jest właśnie myśl św. Tomasza z Akwinu, którego zdaniem ludzkie poglądy na temat Boga nie są wiarą, lecz tylko przedmiotem opinii. Są to więc jakieś wierzenia, przekonania. Wiara natomiast dotyczy tego, co Bóg objawił i jest ona sposobem poznawania Pana Boga, który się człowiekowi objawia. Toteż jest czymś wewnątrznie niemożliwym – powiada Tomasz – żeby tak rozumiana wiara poznawała coś fałszywego. Ojciec Jacek tak streszcza pogląd Akwinaty: „Wiara, będąc sposobem poznawania objawiającego się Boga, kieruje się ostatecznie ku Bogu żywemu, a tylko nadrzędnie ku prawdom, które On o sobie objawił. Dopiero w tej perspektywie wyjaśnia się, dlaczego do wiary niezbędna jest łaska, uzdalniająca nas do tego, do czego z natury nie jesteśmy zdolni. Zrozumiałą rzeczą staje się również to, że wiara podlega rozwojowi i że istotnymi jej przejawami są modlitwa, wsłuchiwanie się w słowo Boże oraz świadectwo życia (...). Natomiast w świetle Tomaszowej nauki o wierze czymś zupełnie niezrozumiałym byłyby wszelkie próby zamknięcia wiary w swoich przeświadczeniach”. Zatem wiara – w rozumieniu teologii Kościoła – to nie są tylko jakieś przeświadczenia czy wierzenia, nawet jeśli są one zgodne z Objawieniem. Dlaczego? Tomasz odpowiedziałby, że nie są one w stanie – uwaga (!) zbliżyć człowieka realnie do Boga. Po takim przedstawieniu sprawy ojciec Salij podaje definicję wiary Tomasza z *Sumy teologii*. Otóż wiara to „sprawność duchowa, mocą której rozpoczyna się w nas życie wieczne”. Powyżej mamy dwa niezwykle stwierdzenia – dla mnie, przynajmniej – wciąż rewolucyjne! Podkreślmy je. Żadne przeświadczenia, poglądy czy wierzenia nie są w stanie zbliżyć człowieka do Boga żywego. Może to uczynić tylko wiara pojmowana jako „sprawność duchowa”, która nas kieruje, ale nie ku jakimś twierdzeniom i dogmatom, lecz ku żywemu Bogu. Tym samym, jak mówi Doktor Anielski (i to także jest niesamowite), za sprawą tejże wiary rozpoczyna się w człowieku, już teraz (sic!) życie wieczne.

Jakie konsekwencje płyną z fałszywego pojmowania wiary przez dzisiejszych chrześcijan? Wielu katolików (i nie tylko) *de facto* porzuca wiarę chrześcijańską. Spora liczba wciąż deklaruje katolicyzm, ale właśnie tylko w sferze przekonań. Do tego dołącza się, według określenia autora *Pytań nieobojetnych* „szczętkowy udział w kulcie”. To jednak za mało. Ani bowiem same uczucia, ani sama tradycja, ani tylko jakieś przekonania (poglądy), ani także wyłącznie zewnętrzna pobożność i udział w obrzędach nie wystarczą do zachowania żywej relacji z Bogiem. Można więc powiedzieć, że najgroźniejsza mutacja zachodzi w naszej wierze wtedy, gdy uderza ona w ten najgłębszy jej wymiar – wymiar osobowej relacji z Bogiem. Bowiem w takiej sytuacji wiara w Boga, czyli wiara kierująca nas do celu i działająca przez miłość, może zostać zniszczona. Może stać się niewiarą. Autor Listu do Hebrajczyków słusznie przestrzega: „Uważajcie, bracia, aby nie było w kimś z was przewrotnego serca niewiary, której skutkiem jest odstępianie od Boga żywego, lecz zachęcajcie się wzajemnie każdego dnia, póki trwa to, co dziś się zwie, aby żaden z was nie uległ zatwardziałości przez oszustwo grzechu” (Hbr 3,12-13).

„Bóg nie ma wnucząt”
oraz wspólnotowy aspekt wiary

Spójrzmy na nas samych. Wielu z nas, ochrzczonych katolików, zatraciło gdzieś wiarę rozumianą jako przyłgnięcie do Chrystusa, jako żywą relację miłości z Nim, która przemienia całe nasze życie. Zamiast tego mamy niekiedy (często?) tylko pozostałości jakichś chrześcijańskich poglądów (które często nie są już ortodoksyjne) oraz to, co może nas trzymać najmocniej w Kościele – „szczętkowy udział w kulcie”, czyli pewne obrzędy, które coraz bardziej traktowane są jako kulturowy obyczaj (katolicyzm kulturowy). Najlepiej to widać w przypadku

chrzczenia dzieci czy też zawierania związków małżeńskich przez (tak naprawdę) niepraktykujących katolików. Przypomina mi się pewien prosty eksperyment przeprowadzony przez jednego z moich współbraci. Otóż prowadząc kursy przygotowujące do ślubu, zrobił ankietę, w której jednym z pytań było: „Kim dla Ciebie jest Jezus Chrystus?”. Jakież było jego zdziwienie, gdy na prawie sto par narzeczonych tylko mała część w ogóle dała jakąkolwiek odpowiedź na to pytanie, a w kilku zaledwie wypowiedziach pojawiły się takie określenia Chrystusa jak: „przyjaciel, Bóg, Pan, ktoś bliski”. Może coraz częściej jest w Polsce tak, że sakramenty są udzielane tym, którzy nie wierzą w Boga i którzy Go nie znają...

Jako kapłan wiele razy widziałem, że na mszy ślubnej czy pogrzebowej tylko kilka osób z całego kościoła (np. nowo zaślubieni) przystępowało do komunii świętej albo nawet nikt (tak mi się zdarzyło na niektórych pogrzebach). Duża część spowiedzi przedślubnych wygląda tak, że ktoś mówi: „nie chodzę do kościoła, nie modłę się, jadłem mięso w piątek”. Po czym dodaje: „Mieszkamy ze sobą, więc ksiądz powiedział, że ma być tylko jedna spowiedź”. I na koniec: „A w ogóle to ślub jest jutro”. Czy ci ludzie mają szansę na nawrócenie, na przemianę w wierze? Jest we mnie smutek i niepokój o tych katolików, którzy tak żyją, o jakość ich wiary, a tak naprawdę o ich zbawienie. Ktoś powie, że przecież nie wiadomo, co jest w sercu tych ludzi, i że sakrament to szansa dla nich, aby odkryć Boga na nowo. To prawda. Wierzę, że minimalnie otwarte drzwi pozwalają Bogu działać. Niemniej potrzeba jasnej decyzji ze strony człowieka.

Nie doceniamy aktu osobistej decyzji na życie z Bogiem. Takie myślenie ma korzenie w przeszłości. Jezuita Alfonso Nebreda (do którego odwołuje się Sherry Weddell w swoje książce *Owocne uczniostwo*) przypomina, że od końca XVI wieku do pierwszej połowy XIX wieku katechizmy Kościoła akcentowały kwestię obiektywnej skuteczności

sakramentów, a rzadko mówiły o osobistym akcie wiary, o jego ważności. Wynikało to m.in. z polemiki z ideami protestanckimi. W rezultacie trochę (a może nawet bardzo) zapomniano o osobistym akcie wiary w Chrystusa (bano się, że taka wiara przypomina trochę protestanckie *sola fide* – „tylko wiara”). Bycie wierzącym przypominało coraz bardziej akceptację tylko pewnej doktryny, a mało było w tym osobistej więzi (relacji) z Bogiem. Taka postawa zmutowanej wiary pokutuje do dzisiaj w Kościele, czego chyba w jakiejś mierze doświadczamy w naszym kraju.

Ktoś powiedział, że Bóg nie ma wnucząt. Wiara musi być osobistym wyborem, świadomą decyzją na życie z Chrystusem. Podobno pewne badania w USA pokazały, że katecheza dzieci i młodzieży nie ma wpływu (w zasadzie prawie żadnego – w co naprawdę trudno uwierzyć!) na ich religijne wybory w późniejszym życiu (wydaje się, że podobnie może być w Polsce, choć nie znam badań na ten temat). Katolicyzm kulturowy umiera. Trzeba się skupić na katolicyzmie z wyboru. Większość katolików nad Wisłą przyjęła sakramenty (pełnię wtajemniczenia, czyli sakramenty inicjacji, wielu także zawarło ślub kościelny). Ludzie ci nie przeszli jednak ewangelizacji. Nie zaistniała zatem, w przypadku wielu z tych osób, żywa i osobista relacja z Jezusem Chrystusem. A więc, by przywołać wcześniejsze rozróżnienie, nie ma w nich aktu *credere* (wierzyć), chociaż otrzymali dar *fides* (wiara). To ostatnie stwierdzenie jest dobrym punktem wyjścia do ewangelizacji tych wszystkich, którzy już zostali ochrzczeni, chociaż nie praktykują. Wszyscy oni wciąż jednak mają w pewien sposób łaskę wiary! Trzeba ją obudzić na nowo. I warto ją także, w warstwie przekonania (wiedzy), pogłębić. To jednak jest sprawą wtórną.

I jeszcze jedna kwestia, którą należy podkreślić. Chodzi o wspólnotowy aspekt naszej chrześcijańskiej wiary (powiemy o tym więcej przy okazji omawiania kwestii doświadczenia). Papież Benedykt XVI

wielokrotnie zwracał uwagę na wspólnotowy wymiar wiary. „Samo wyznanie wiary jest aktem zarówno osobistym, jak i wspólnotowym. Pierwszym podmiotem wiary jest faktycznie Kościół [Kościół jako ten, który wierzy – R.B.]. W wierze wspólnoty chrześcijańskiej każdy otrzymuje chrzest, skuteczny znak wejścia do ludu wierzących, aby uzyskać zbawienie” (Benedykt XVI, *Porta fidei*). Przypnę, że powyższe słowa to miód na moje serce. Łączą się one z tym, o czym za chwilę powiemy, że wierzący jest ogniwem w łańcuchu wiary, w jej przekazie innym. Kościół nie tworzy się sam. Podobnie moja wiara nie tworzy się sama. Nie mogę sam się ochrzcić. Mogę ten dar łaski przyjąć.

Jaka jest nasza wiara?

Kierując naszą uwagę na katolicyzm w Polsce, można zapytać: Jaka jest nasza wiara w Roku Pańskim 2020? Czym różni się nasza religijność od religijności innych krajów? Jaką ma specyfikę?

Cofnijmy się w przeszłość o mniej więcej sto lat. Ojciec Jacek Woroniecki OP, pisząc o polskim katolicyzmie okresu międzywojennego, dostrzegł w nim pewną słabość – zubożenie wobec prawd wiary. Upatrywał przyczyn tego stanu rzeczy w podnoszeniu „uczuciowej strony religii z równoczesnym zubożeniem albo nawet uprzedzeniem do jej rozumowego uzasadnienia” (J. Woroniecki, *Przewodnik po literaturze religijnej i pokrewnych dziedzinach filozofii i nauk społecznych*). Woroniecki mówił, że na powyższy stan rzeczy złożyło się wiele czynników, m.in. upadek studiów teologicznych, zdyskredytowanie filozofii XVIII wieku (wybitnie racjonalistycznej), sentymentalizm i pojawiający się pod jego wpływem kierunek romantyczny. Wszystko to, zdaniem dominikanina, „wytworzyło pewien nastrój umysłów, zwany fideizmem, którego dążeniem było

uniezależnić wiarę od zawsze podejrzanego rozumu, a to przez wywyższenie pierwszej, a poniżanie drugiego” (tamże). Woroniecki dodaje także inne słowa warte przemyślenia: „W tych ciężkich warunkach to głębokie przywiązanie do wiary przodków i do Kościoła katolickiego, którego społeczeństwo nasze tyle razy dawało dowody, bardzo było cenne, choć nieraz raczej z uczuciowych, niż z rozumowych motywów wypływało. A jednak nie można oczu zamykać na niebezpieczeństwo, połączone z takim sposobem traktowania spraw religijnych” (tamże).

Czy powyższe słowa są aktualne także dzisiaj? Sądzę, że w jakiejś mierze tak. I nawet jeśli kontekst kulturowo-polityczny uległ zmianie, to jednak pewien rys wiary katolików w Polsce pozostaje ten sam. Można powiedzieć, że ciągnie nas w stronę fideizmu, a także, że mamy trochę w genach dystans do rozumowego uzasadniania prawd wiary. Przekaz tego wielkiego wychowawcy jest klarowny: niebezpieczeństwem dla wiary jest pozbawianie jej rozumowego ugruntowania, a także budowanie na samej uczuciowości. Same uczucia nie wystarczą w wierze, podobnie jak nie wystarczy sam intelekt. Nie wystarczy również sama zewnętrzna pobożność, nawet jeśli jest szczerym przywiązaniem do „wiary przodków i do Kościoła”. Może ona doprowadzić do wspomnianego już katolicyzmu kulturowego, czyli takiej postaci wiary, w której ma ona postać tylko pewnych zachowań kulturowych. Jak to mówią złośliwi, dwa najważniejsze święta kościelne dla niektórych polskich katolików to święconka i Popielec. Rzeczywiście, aż dziw bierze, że w te dni kościoły tak się zapełniają, podczas gdy inne święta niekoniecznie.

Słowa ojca Woronieckiego są, jak powiedzieliśmy, do pewnego stopnia aktualne, choć dzisiejsza sytuacja Kościoła w Polsce jest dużo bardziej skomplikowana od tej przedwojennej. Różnica jest taka, że o ile w przeszłości chrześcijaństwo było, jedynym wyznaniem, o tyle

współcześnie stało się ono tylko jedną z wielu ofert w duchowo-reli-gijnym supermarkecie. Paweł Milcarek mówi, że w związku z tym, że dzieje Polski mierzymy od chrztu Mieszka w 966 roku, nie mamy innych alternatywnych początków naszych dziejów i powiązanych z nimi alternatywnych, rozbieżnych dróg. Stąd też w naszej historii wszelkie prądy kulturowe, ideologie, mody musiały się w jakiś sposób „dogadać” z chrześcijaństwem. Jako przykład można wskazać choćby oświecenie, romantyzm czy pozytywizm. Gdzie indziej przywołane prądy, jak np. oświecenie, były agresywne wobec Kościoła, a przynajmniej mocno konkurencyjne. Milcarek pisze: „Jak dotąd żadnej ideologii otwarcie wrogiej chrześcijaństwu nie udało się zyskać trwałych wpływów w Polsce – co najwyżej żywiły się przez jakiś czas potencjałem fobii czysto antyklerykalnych” (P. Milcarek, *Polska chrześcijańska. Kamienie milowe*). „Wszystko to nie znaczy przecież, że chrystianizacja Polski była dogłębnie przykładowa – miała ograniczenia i dotkliwe braki” (tamże).

Jestem przekonany, że kiedy mówimy o kryzysie Kościoła w Polsce, to pomijając wiele istotnych aspektów tego zjawiska, można go opisać jako kryzys wiary. Jak jest dzisiaj z naszą wiarą? Jak głęboko weszła w nas Dobra Nowina? Chrystus mówi, że obrazem Królestwa Bożego jest zaczyn, który ma przemienić całe ciasto (zob. Mt 13,33). Wszystko ma się zakwasić. Wszystko ma zostać przemienione. Z pewnością w wielu członkach Kościoła widać żarliwość serca, żywą wiarę w Boga oraz silne przywiązanie do tradycji i tego, co katolickie. Z drugiej strony, o czym mówiliśmy wcześniej, da się również w Polsce zauważyć tendencje sekularyzacyjne, coraz większą obojętność na sprawy wiary, połączoną niekiedy z niechęcią do Kościoła. Można też dostrzec w wielu ochrzczonych, niestety, wiarę martwą. Da się także wyróżnić taką postać wiary, która jest „wiarą z domieszką”, wiarą zmutowaną.

W polskim katolicyzmie istnieje duże rozwarstwienie. Dla pewnego porządku i systematyki przywołajmy charakterystykę księdza prof. Janusza Mariańskiego⁴. Wyróżnia on typologię (choć mówi o jej dyskusyjności) ze względu na stosunek członków Kościoła do jego doktryny dogmatycznej i moralnej. Daje to pewną panoramę stanu wiary polskich katolików, choć z pewnością nie opisuje wszystkiego dogłębnie. Można więc wyróżnić następujące grupy:

- 1) katolicy zaangażowani – pogłębiający wiarę, aktywni, będący często w ruchach i wspólnotach kościelnych (ok. 10%),
- 2) sektor sformalizowanej więzi kościelnej – „urzędniczy Kościoła”, czyli kapłani, osoby konsekrowane i inni zatrudnieni przez instytucje kościelne (1%),
- 3) katolicy tradycyjnego i ortodoksyjnego katolicyzmu – „tradycyjni”, praktykują w miarę regularnie, uznają dogmaty wiary i nauczanie moralne Kościoła, w miarę związani z parafią, przywiązani do narodowej tradycji, mniej otwarci na wpływy z zewnątrz (ok. 30%),
- 4) katolicy selektywni – wierzący po swojemu, wybiórczo, praktykujący mniej lub bardziej nieregularnie i dość luźno związani z parafią (ok. 30%),
- 5) katolicy otwarci – progresywni, poszukujący, niekiedy wędrujący skrajem katolicyzmu, proponują swoją wizję chrześcijaństwa, często kwestionując ortodoksję, krytykują związek katolicyzmu w Polsce z polskością, patriotyzmem (ok. 15%),

⁴ Zestawienie pochodzi z artykułu księdza prof. Janusza Mariańskiego *Tendencje rozwojowe w religijności katolickiej w Polsce* zawartego w zbiorowej publikacji E. Firlit, M. Hainz i inni (red.), *Pomiędzy sekularyzacją i religijnym ożywieniem*.

- 6) katolicy marginalni – obojętni, z metryki, zrywają zasadniczo z praktykami religijnymi, są w kościele na chrzest, ślub czy największe święta, traktują religię jako kulturową powinność, element więzi rodzinnej, tak naprawdę są ateistami w praktyce (ok. 10%),
- 7) katolicy pogranicza – ochrzczeni, ale teoretycznie i praktycznie poza Kościołem, niepraktykujący, świadomie dystansujący się wobec Kościoła i wiary (ok. 2-3%).

Można przypuszczać, jak mówi ksiądz Mariański, że w dalszej części XXI wieku będzie się rozwijać „pełzająca (spowolniona) sekularyzacja”, choć jednak przyszły rozwój Kościoła w Polsce jest „do pewnego stopnia niewiadomą”. W Polsce, oprócz procesów sekularyzacyjnych, działają silnie procesy desekularyzacyjne związane z oddziaływaniem ewangelizacyjnym Kościoła i innych wspólnot wyznaniowych. A więc znów możemy przywołać hasło znane z naszego wstępu (a opisujące katolicyzm polski): między laicyzacją a ewangelizacją. Wniosek zatem nasuwa się następujący: nie wiadomo, jaka jest przyszłość Kościoła w Polsce, ale z pewnością od nas, wierzących w Chrystusa, wiele zależy.

Między stopniowym odsuwaniem od Światła a odkryciem życia w Chrystusie

Jak zmaganie o wiarę (czy też jej odkrywanie na nowo) może wyglądać w praktyce życia codziennego? Zazwyczaj wiary nie tracimy z dnia na dzień. Doświadczony diabeł, czyli Krętacz z książeczki Lewisa, wiedział dokładnie, jak kusić człowieka, aby ten odszedł od Boga. Pisał do młodego adepta sztuki kuszenia Piołuna tak: „Nie ma znaczenia to, jak małe są przewinienia, pod warunkiem że łącznym ich efektem będzie stopniowe odsuwanie człowieka od Światła [czyli od Boga – R.B.]

i pograżenie go w Nicość. Zabójstwo w niczym nie jest lepsze od kart, jeśli karty potrafią dokonać tego, o co nam chodzi. Doprawdy, najpewniejszą drogą do Piekła jest droga stopniowa – łagodna, miękko usłana, bez nagłych zakrętów, bez kamieni milowych, bez drogowskazów” (C.S. Lewis, *Listy starego diabła do młodego*).

Możemy mieć do czynienia z sytuacją słabnięcia wiary w Boga (a często zanikiem praktyk religijnych) rozumianej jako żywa, pełna miłości relacja z Nim, która w takiej właśnie osłabionej postaci nie wpływa już na całość życia ludzkiego. Pod wpływem różnych czynników, szczególnie kulturowych, staje się ona coraz bardziej zwyczajem, niewiele znaczącym rytuałem, a w każdym razie zostaje zepchnięta tylko do sfery prywatnej pobożności. Tak pojęta często po prostu zanika, niekiedy nawet bezwiednie, nie do końca świadomie. Mechanizm może być podobny. Zaczyna się od równoczesnego procesu w dwóch obszarach. Pierwszy to stopniowy brak wrażliwości na zło i grzech; małe przewinienia, niewierności, wycofanie się z jakiejś relacji po kłótni i brak przebaczenia komuś, kto do niedawna był bliski, brak uczciwości w pracy czy w nauce (np. ściąganie w szkole albo łapówka w pracy). Jednocześnie jednak następuje obojętność na sprawy wiary, brak pogłębiania wiedzy religijnej, rezygnacja z czytania Pisma Świętego (czego może nigdy specjalnie nie było, ale jednak lektura Biblii była od czasu do czasu). Wiąże się z tym rezygnacja z modlitwy, brak spowiedzi, opuszczona jedna, a potem kolejna msza święta. Być może powyższy proces ujawnił tylko coś, co było już wcześniej: wiarę płytką, nieugruntowaną, niepogłębianą intelektualnie, a przede wszystkim taką, która nie była relacją z żywym i kochającym Bogiem. A może właśnie była, lecz stopniowo zaczęła zanikać.

Możemy sobie łatwo wyobrazić np. młodego człowieka, który przyjeżdża na studia do dużego miasta. Zajęty studiami, pracą i relacjami towarzyskimi nie znajduje czasu, aby pielęgnować wiarę. Dodatkowo

studia i zdobywana wiedza całkowicie zmieniają jego dotychczasowy obraz świata, który staje się już nie do pogodzenia z chrześcijańskimi przekonaniami, ze szkolną wiedzą religijną. Poza tym swoboda obyczajów towarzystwa ze studiów zachęca go do podobnego życia, tzn. życia bez zasad moralnych, bez zobowiązań. I tak następuje „stopniowe odsuwanie od Światła”.

Inna sytuacja dotyczy jakiegoś rodzaju utraty wiary chrześcijańskiej, ale łączy się to ze zwróceniem się ku nowym duchowościom, ku poszukiwaniu wiary zindywidualizowanej. Dobrze ukazuje to fragment poniższego e-maila. Otrzymałem go od osoby, którą kiedyś znałem, a która opisała doświadczenie swoje, jak również doświadczenie bliskich jej ludzi. Wszyscy oni byli kiedyś wierzącymi i praktykującymi katolikami. Teraz jednak w ich religijności zaszła zmiana. Porzucili wiarę chrześcijańską na rzecz poszukiwań związanych z osobistym rozwojem i otwartością na różne tradycje religijne. Czytając tę relację, zadawałem sobie pytanie: Dlaczego tak się stało? Czego zabrakło? Osoba ta pisze: „W moim bliskim otoczeniu są osoby, które też wcześniej żyły w sposób świadomy wiarą, pogłębiały swoją relację z Bogiem przez lata, teraz idą w stronę samoświadomości, rozwoju osobistego na różnych płaszczyznach, szukania siły w sobie, w ciele, w przekonaniach, we własnym umyśle, powrotu do natury – mają znajomych, którzy doświadczali a to bycia w jakimś kręgu ze śpiewami transowymi o sile kobiet, a to medytacji i jogi, a to ayahuaski (...), biegania boso po lesie w jakimś rytuale, namiotów oczyszczania, ustawień Hellingerowskich (...). Jest to ciekawe i pociągające dla tych moich znajomych, którzy tylko o tym słyszą lub chcą brać udział, chcą słuchać, chcą zachować tzw. otwarty umysł, doświadczać, poszerzać swoje horyzonty, nie demonizować wszystkiego/niczego, co się dzieje wokół nich. Mam tu na myśli konkretnych ludzi, których znam właśnie ze środowisk x”.

Możemy też (na szczęście!) przywołać bardziej budujące przykłady, których – dzięki Bogu – jest całkiem sporo. Można powiedzieć, że ci, którzy w Polsce na nowo odkrywają wiarę chrześcijańską, bardzo często mają pragnienie, aby „iść w głąb wiary”. Szukają formacji, rekolekcji, wspólnot, kierownictwa duchowego, angażują się w różne inicjatywy w Kościele. Ilu jest takich? Naprawdę wielu. Nie liczymy ich jednak. Jest to pokusa, której uległ król Dawid i nie wyszło mu to na zdrowie. Przypomina mi się historia Gedeona, który z pomocą niewielkiej grupy wojowników zwycięża wroga. A jak było na początku Kościoła? Przecież to właśnie mała grupka uczniów Jezusa po zesłaniu Ducha Świętego zaczęła głosić orędzie zbawienia. Ludzie byli chrzczeni w imię Jezusa Chrystusa, wierząc, że wiara i chrzest dają im życie wieczne. Może to być człowiek w sile wieku, zamożny i na stanowisku, spełniony zawodowo i posiadający rodzinę, którego jednak nic do końca nie nasycało. Pod wpływem splotu okoliczności (jedni powiedzą – przypadku, a inni – działania Opatrzności Bożej) w pewnym momencie życia nawraca się. Zmienia całkowicie swoje postępowanie, zaczyna się gorąco modlić i czytać regularnie Biblię. Jest codziennie na mszy świętej, przystępuje do spowiedzi co dwa-trzy tygodnie. I mówi: „Nie umiem już żyć bez Boga”. Nie jest wsobny, nie zamyka się ze swoją wiarą w jakiejś hermetycznej wspólnotie w Kościele. Przeciwnie, zaczyna organizować (wraz z innymi świeckimi) działania ewangelizacyjne. Pragnie dzielić się wiarą. Albo młoda dziewczyna, która przeżywa potworne trudności; lęk, depresję, ma myśli samobójcze. W końcu, dochodząc do ściany, w akcie desperacji zaczyna z wiarą wołać do Boga. I Bóg odpowiada. I przychodzi ze swoją łaską. A osoba ta mówi, już po doświadczeniu spotkania z Chrystusem, że „nie ma już dla mnie innego życia niż życie w Chrystusie”. Nie ma innego życia...

Ogniwo w łańcuchu wiary i żarliwość mistyków

Jak ożywiać wiarę swoją i innych? Ostatecznie przyprowadzić kogoś do wiary może tylko Jezus. Warunkiem jest otwartość serca człowieka. To, co jest istotne z punktu widzenia tych już wierzących, to przekaz innym wiary, zrodzenie kogoś do wiary. Pięknie mówi o tym Katechizm: „Nikt nie może wierzyć sam, tak jak nikt nie może żyć sam. Nikt nie dał wiary samemu sobie, tak jak nikt nie dał sam sobie życia. Wierzący otrzymał wiarę od innych, dlatego powinien ją przekazywać innym. Nasza miłość do Jezusa i ludzi skłania nas do mówienia innym o naszej wierze. Każdy wierzący jest jakby ogniwnem w wielkim łańcuchu wierzących. Nie mogę wierzyć, jeśli nie będzie mnie prowadziła wiara innych, a przez moją wiarę przyczyniam się do prowadzenia wiary innych” (KKK, nr 166). Nic dodać, nic ująć. Tylko te słowa wypełnić. Święty papież Paweł VI wypowiedział znamienne słowa: „Kościół istnieje dla ewangelizacji”. To jest więc racja i przyczyna istnienia Kościoła, ale też – pomyślmy dobrze – sens naszego bycia wierzącymi w Chrystusa, którego mamy głosić innym, ale najpierw poznawać osobiście.

W naszej wierze najważniejszy jest Bóg. Pamiętam, jak kiedyś zaskoczyły mnie słowa kardynała Ratzingera wypowiedziane w kontekście dyskusji o nowej ewangelizacji. Nie umiem, niestety, wskazać źródła tej wypowiedzi papieża. Powiedział on (a przynajmniej tak to pamiętam), że w nowej ewangelizacji nie są najważniejsze metody i techniki (czyli, można powiedzieć, sposoby mające na celu doprowadzenia człowieka do wiary). Nie jest bowiem najważniejsze to, „jak” mamy głosić. Kluczowe jest to, „Kogo” mamy głosić. Rozumiem to stwierdzenie tak, że najpierw chodzi o troskę o żywą relację z Bogiem, o bliskość z Nim, o Jego poznanie. Jak mówił św. Paweł: „Wiem, komu uwierzyłem” (1 Tm 1,12). Jeśli Go znam

i kocham nad życie, to z tego będzie wypływało każde moje działanie, w tym ewangelizacja. Albo, inaczej mówiąc, każde działanie będzie w jakiejś mierze ewangelizacją. Jak w dominikańskim ideale, który mówi o głoszeniu (kaznodziejstwie) wypływającym ze spotkania z Panem. *Contemplata aliis tradere*, czyli przekazywać innym owoce kontemplacji. Dzielić się spotkaniem z Bogiem. Bo jeśli chrześcijanin wierzy w Chrystusa, kocha Go, spotyka się z Nim, to będzie chciał także o Nim świadczyć. I będzie to potrafił robić, często w sposób prosty, może nawet nieporadny, ale autentyczny i, w gruncie rzeczy, owocny.

Najbardziej owocne jest świadectwo tych, którzy są najsilniej przeniknięci miłością do Boga, czyli świętych. Potrzebujemy w Kościele polskim świadków wiary, nowych świętych. Takich jak zamordowana na misjach Helena Kmieć, duszpasterz ojciec Joachim Badeni OP czy mistyczka Alicja Lenczewska. Wszystkie osoby, które teraz przywołuję, nie są beatyfikowane, choć może któraś z nich taką się stanie (spoza polskich świadków wiary poruszyła mnie ostatnio historia rodzonej siostry św. Teresy z Lisieux – Leonii Martin, której diecezjalny proces beatyfikacyjny niedawno się skończył). Przywołane osoby są już świadkami wiary i inspiracją dla innych. W ich życiu można dostrzec, jak owocuje prawdziwe życie wiarą i jak prowadzi innych do wiary. Oprócz świadectwa miłości takich osób wyczuwalna jest w nich tajemnica obcowania z Bogiem.

To, co bez wątpienia pociąga mocno do Chrystusa, to mistycy. Ksiądz Edward Staniek napisał: „Bliskie spotkanie z mistykami zdumiewa żarliwością ich ducha. Są oni w społeczeństwie jak drożdże decydujące o szybkim przemianianiu mąki i wody w drogocenne ciasto. Na pytanie: dlaczego chrześcijaństwo kończącego się dwudziestego wieku tchnie przeciętnością, istnieje tylko jedna odpowiedź – zabrakło w nim odpowiedniej ilości mistyków. Może być

dużo doskonałej mąki, może być wszystko, co potrzebne do wielkiej ilości dobrego ciasta, ale jeśli zabraknie zaczynu, można ze zgromadzonego materiału piec co najwyżej naleśniki, a o wypieku chleba nie ma mowy.

Czy można jednak mistyków wychować? Czy można tu coś zaprogramować, czy też mistyk jest tylko i wyłącznie dziełem łaski, darem Boga dla wspólnoty? Odpowiedź jest prosta. W Kościele zaczyn został złożony i w nim jest. Nic też nie może go unicestwić. Można jedynie ograniczyć jego działanie lub je potęgować. Ograniczenie polega na przesuwaniu akcentu na działanie zewnętrzne. Potęgowanie na docenianiu ciszy, modlitwy i wejścia w głąb wartości duchowych. Mistyk może być wielkim misjonarzem, jak Paweł czy Franciszek z Asyżu, ale on musi mieć czas na obcowanie z Bogiem sam na sam. Brat Albert budował pustelnie i nie wahał się nawet w największym nawale pracy wysyłać swoich braci i siostry na miesięczne skupienie. W pustelni wracali do równowagi sił ciała i ducha, odpoczywali nerwowo, wchodzili w świat wartości Bożych, by wrócić jako ewangeliczny kwas do swojej działalności.

Każdy, kto autentycznie chce rozwijać życie religijne, wie, jaką wartość posiadają okresy wyciszenia. Nie wystarczą do tego rekolekcje, nawet tygodniowe, nie wystarczy codzienny pacierz i niedzielna msza święta. To wystarcza do tego, by być dobrą ewangeliczną mąką, ale nie do tego, by być kwasem. I nawet jeśli ostatecznie owym ewangelicznym kwasem, zaczynem jest sam Duch Święty, to jednak im bardziej ktoś do Niego należy, tym mocniej On może działać także w innych ludziach. I może coraz bardziej przemieniać najpierw sam Kościół, a potem także wszystkich, którzy są dziećmi Ojca”.

Zakończę przykładem, a w zasadzie pytaniem, które ktoś mi zadał: „A co powiedziałby ojciec młodemu człowiekowi, który przychodzi i mówi: «Chodzę do kościoła, praktykuję sakramenty, ale nie czuję

Ducha Świętego, nie czuję żywej wiary. Jak on czy ona mają potwierdzić swoją wiarę?»”. Powiedziałbym tak: „Nie przejmuj się tym, że nie czujesz. Może pytanie «czy wierzę?» lepiej zastąpić pytaniem «czy ja chcę wierzyć?»”. Jeśli chcę, to Bogu to wystarczy, żeby działał. Nie znam nikogo, kto mówiłby, że ma za dużo wiary. Bóg natomiast mówi: „tyle wiary, ile masz, wystarczy”. Wiara może być mała, jak ewangeliczne ziarnko gorczycy, ale jeśli dokonujemy aktów wiary i zwracamy się do Chrystusa, to On rozpala ją na nowo. I dokonuje w człowieku wielkich rzeczy.